

1. Mexicantown

Znak na autostradzie kieruje do Mexicantown. Nazwa dzielnicy Detroit, w której wychował się Jack White, pobrzmiewa buntowniczym echem otwarcie rasistowskiej historii miasta. W rzeczywistości powstała w latach 80. XX wieku i jest efektem kampanii PR wymyślonej, by ściągnąć do dzielnicy jeszcze więcej Meksykanów, choć ich liczba i tak wzrastała z każdym rokiem. Otoczone niszczącymi w zastraszającym tempie dzielnicami czarnych Amerykanów Mexicantown miało być symbolem sukcesu. Dla Jacka rozwój tej części miasta oznaczał jednak alienację – był w niej zagubionym białym chłopakiem walczącym o swe miejsce w podzielonym, zmagającym się z nędzą Detroit.

Usankcjonowana przez władze miasta nazwa dzielnicy w południowo-zachodnim Detroit nie jest tak dosadna, jak Black Bottom (Czarny Zadek), taki bowiem przydomek nosiła Lower East Side, ironicznie zwana Rajską Aleją (Paradise Alley) w okresie międzywojennym. W czasach tych rzesze czarnych Amerykanów emigrowały na Północ z ogarniętego kryzysem wrogiego Południa tylko po to, by spotkać się ponownie z segregacją i wylądować w coraz bardziej zatłoczonym i podupadającym getcie. W latach 50. XX w. fabryki motoryzacyjne, do których kiedyś przyjechali za pracą, przeniosły się na obrzeża miasta, co zapoczątkowało nabierający rozpędu proces jego upadku i ucieczki mieszkańców. Tymczasem złożone z białych Stowarzyszenia Obywatelskie patrolowały ulice wzdłuż niewidzialnych murów getta, osaczając

czarnych sąsiadów rasistowskimi przepisami, umowami sprzedaży nieruchomości czy wręcz groźbami przemocy.

Wulkan, na którym spało Detroit, eksplodował pewnej wyjątkowo upalnej lipcowej nocy w 1967 roku, po nalocie policji na spelunkę z alkoholem w murzyńskiej dzielnicy. Piekło, które się wtedy rozpętało, miało inny charakter niż zamieszki na tle rasowym w Watts w roku 1965. Wściekłość prześladowanych, długo ignorowana przez władze, rozlała się po mieście bez względu na rasę, a jej skutki odczuli zarówno biali, jak i czarni właściciele podpalanych firm. Do stłumienia rozruchów skierowano pięć tysięcy spadochroniarzy dowodzonych przez generała walczącego wcześniej w Wietnamie. Zginęły czterdzieści trzy osoby, z tego trzydzieści z rąk policji. Aresztowano 7231 mieszkańców, zniszczono lub obrabowano 2509 budynków. Stojąc pośród ruin, burmistrz Jerome Cavanagh oświadczył, że miasto *wygląda jak Berlin w 1945 roku*.

Niczym warstwa popiołów pod Londynem, świadcząca o gniewnej zemście Boudiki na rzymskim mieście, wydarzenia z 1967 roku są wciąż otwartą raną Detroit. Ćwierć wieku później ponad 10 tysięcy domów jest niezamieszkałych, 60 tysięcy działek stoi pustych. W stosunku do 1950 roku populacja Detroit spadła o milion. W roku 1967 dwie trzecie mieszkańców stanowiła biała ludność, w latach 90. XX wieku osiemdziesiąt procent mieszkańców stanowili Afroamerykanie. Przerażeni biali, którzy sami, kierowani rasistowskimi uprzedzeniami i fobiami podpalili lont pod beczką prochu, uciekli za nową

granice, wytyczoną przez 8 Mile Road. Stosunkowo nieźle prosperujące przedmieścia po drugiej stronie tej trasy są właściwie odrębnymi miastami, zachowującymi w budżecie płacone na miejscu podatki, co umożliwia ich mieszkańcom kontynuowanie starej, opartej na rasie, polityki mieszkaniowej. Prawdziwe Detroit pozostawiono na pastwę losu. Kiedy w 2002 roku szedłem w kierunku opuszczonych, modernistycznych wieżowców zdobiących kiedyś ów „Paryż Zachodu”, czułem się, jakbym wędrował po Atlantydzie lub ulicach Pompei po wybuchu wulkanu. Pozbawione dachów, pokryte plamami budynki sprawiały wrażenie nasiąkniętych wilgocią, jakby ktoś wyciągnął je z dna rzeki. Niesamowitą ciszę wczesnego wieczoru zakłócał jedynie szelest walających się śmieci. Minęło piętnaście minut, nim udało mi się dostrzec w oddali innego przejścia.

Lata 1967–2013, kiedy dzięki ogłoszeniu bankructwa Detroit zostało „uratowane”, a nowi inwestorzy znów zapalili światła w opuszczonych drapaczach chmur, najlepiej podsumowują słowa Brendana Bensona, byłego mieszkańca tego miasta, grającego z White’em w The Raconteurs: *Z perspektywy czasu, powiem ci jedno. Tutejsi burmistrzowie zawsze słynęli z zepsucia, osiągając w tym wręcz celebrycki status. Wielkie posiadłości, floty samochodów, niezliczone romanse z nietuzinkowymi kobietami – żyli niczym gwiazdy rocka, a reszta Detroit się nie liczyła.*

Nawet z takim brzemieniem, miasto wydało Madonnę, The Stooges, MC5, Motown i techno, przed nimi zaś całą plejadę gwiazd afroamerykańskich: od

Johna Lee Hookera po perkusyjne dynamo, Elvina Jonesa. U progu nowego milenium muzyczny profil Detroit ożywiła trójka wykonawców. Kid Rock, współautor fenomenu sceny rap-rock/ nu metal albumem „Devil Without A Cause” (1998), uciekł z oddalonej od centrum Detroit urokliwej miejscowości Romeo (zamieszkaney głównie przez białych) do getta. Eminem sprawił, iż grawitacyjne centrum hip-hopu przeniosło się z zachodniego i wschodniego wybrzeża do zapomnianego miasta na środkowym zachodzie dzięki albumowi „The Marshall Mathers LP” (2000), który uczynił z niego największą gwiazdę tego nurtu. Wcześniej większość naznaczonego biedą życia spędził po drugiej stronie symbolicznej granicy nędzy, wytyczonej przez Ósmą Milę. W równym stopniu ukształtowało go jednak Warren – białe przedmieście, gdzie chodził do liceum. Tylko ostatni z tej wielkiej trójki, Jack White, jest prawdziwym synem miasta.

W uroczym dekadencjnym filmie o wampirach z 2014 roku („Tylko kochankowie przeżyją”), nakręconym przez zaprzyjaźnionego z White’em Jima Jarmuscha, bohater grany przez Toma Hiddlestone’a – wiecznie żywy, unikający ludzi i rozgłosu muzyk o imieniu Adam – krąży nocami po wymarłych ulicach Detroit ze swą żyjącą od trzy tysiące lat kochanką Ewą (Tilda Swinton). W czasie jednej z wędrówek, zamiast pojechać do muzeum Motown, postanawia pokazać jej coś bliższego jego sercu. *Oto dom Jacka White’a. Tutaj się wychował* – mówi, wskazując na tonący w mroku jasnoniebieski piętrowy budynek z drewna. Jedyne źródła światła w okolicy – lampa na werandzie pod

balkonem i ledwo żarząca się żarówka w jednym z pokoi – nadają mu wygląd nawiedzonego domostwa. *Och, ubóstwiam Jacka White'a* – wzdycha Ewa, będąca za pan brat z największymi artystami w historii ludzkości. *Tak, tak... nasz mały Jack White*, mówi z czułością, gdy oddalają się od domu. *A wiesz, że jest siódmym synem swojej matki?* – pyta Adam, odwołując się do wierzeń, zgodnie z którymi siódmy męski potomek jest obdarzony nadnaturalnymi mocami. *To by się zgadzało*, odpowiada Ewa.

Kiedy pewnego zimowego popołudnia w 2014 roku jadę na Ferdinand Street 1203, gdzie Jack mieszkał do dwudziestego ósmego roku życia, po atmosferze wyczarowanej przez Jarmuscha, nie ma oczywiście śladu. Jest za to dom z trzema sypialniami, strychem, ogródkiem na tyłach i trawnikiem od frontu, ze śladami rdzy na ganku. Dom stoi przy ulicy pośród podobnych równie przyzwoicie wyglądających budynków, oddzielonych od jezdni pasem zieleni i szpalerem drzew. Wszystkie są zadbane, skrajna nędza i zniszczenie, czające się za rogiem nie mają tu dostępu. Można stąd dojść na piechotę do większości miejsc związanych z wczesnym etapem życia White'a. Tyle tylko że nie nazywał się jeszcze wtedy Jack White. Podobnie jak Bobby Ritchie (Kid Rock) czy Marshall Mathers, który nosił maski Eminema i Slima Shady'ego, zaczął jako ktoś inny.

John Anthony Gillis urodził się pod tym adresem 9 lipca 1975 roku jako dziesiąte dziecko i siódmy syn Teresy i Gormana Gillisów. Nadano mu imię po Janie Chrzcicielu, rodzina jednak szybko zaczęła wołać na niego „Jackie”. Był

dzieckiem *na doczepkę*, jak sam dziś wspomina, na pewno nieplanowanym przez czterdziestopięcioletnią w chwili porodu matkę. Najmłodszy z jego rodzeństwa urodził się siedem lat wcześniej, najstarszy w 1957 roku. W wywiadzie udzielonym Andrew Male'owi dla magazynu „Mojo” opowiada: *Moi bracia to potężni, dobrze zbudowani faceci w typie silnego drwala. Ja jestem od nich znacznie mniejszy. Oni są prawdziwymi okazami męskości.* Rodziców wspomina jako *starszych ludzi, mocno już wtedy zmęczonych*, którzy zostawili ciężar wychowania najmłodszego potomka rodzeństwu. *Bywało ostro*, przyznaje w rozmowie z „New York Timesem”. *Nie przypominam sobie, abym często słyszał pochwały.* Mimo iż był kochanym i zadbanym dzieckiem, czuł się zdominowany, niezauważany, czasem nawet wyśmiewany. W wywiadzie dla „Mojo” wspomina: *Byliśmy liczną rodziną, nie miałem zbyt wielu przyjaciół i popadałem w paranoję. Myślałem, że wszyscy o mnie bez przerwy rozmawiają.* Życie na końcu kolejki za dziewięciorgiem rodzeństwa pozostawiło w nim poczucie niższości. *Kiedy zdarzają ci się przyjemne rzeczy, powiedział Alexis Petridis z „The Guardian”, rzadko kiedy masz czas, żeby się nimi nacieszyć.*

Hałaśliwy, pełen zabieganych ludzi dom zmuszał go do walki o chwilę samotności i prób zapanowania nad chaosem. W filmie dokumentalnym „Będzie głośno” mówi o tym tak: *Masz to jak w banku, że przez cały dzień będziesz musiał się wszystkim dzielić. Dostajesz używane ubrania po starszym bracie, stare zabawki, nikt nie podziela twoich zainteresowań, ciągle ktoś wchodzi i wychodzi – jedni biegną do pracy, inni na autobus.* Tak nauczył się walczyć o

rzeczy, na których mu zależało. *Ciągła konkurencja i walka o jedzenie.*

Odpychasz innych i na siłę wchodzisz w różne sytuacje.

O tym, jak wyglądało życie najmniejszego i najsłabszego spośród rodzeństwa, chuchra zdominowanego przez niezałujących pięści „drwali”, opowiedział Benowi Thompsonowi z „Daily Telegraph”: *Mnóstwo ludzi mówi ci, co masz robić, a ty nie masz nikogo, na kim mógłbyś się wyżyć – jesteś na końcu tego łańcucha...* Po chwili dodaje: *Jak się nad tym głębiej zastanowić, to bardzo możliwe, że przeżyję ich wszystkich. To cała masa ludzi, których kocham, a których być może będę musiał kiedyś pochować.*

Licznych opiekunów wspomagających starzejących się rodziców w opiece nad Jackiem, nie sposób jednak określić jako typowych facetów najlepiej czujących się we własnym towarzystwie. Bracia podążali własnymi ścieżkami kariery, wykonując przeróżne zawody, jak psychiatra dziecięcy, cukiernik, inspektor pocztowy i klawiszowiec w zespole grającym standardy. Leo Gillis, zafascynowany ekscentrycznymi, innowacyjnymi zawodami (a więc również wykonywanymi później przez dorosłego White’a), szczególną atencją obdarzał Buckminstera Fullera amerykańskiego projektanta i architekta o mistycznych skłonnościach. Przez pewien czas mieszkał w zaprojektowanej przez niego, jedynej w Detroit kopule geodezyjnej (samonośnej, czasem przezroczystej konstrukcji w kształcie kuli). Wzniósł ją w 1998 roku naprzeciwko przytłaczającego, wybebeszonego budynku dworca kolejowego Michigan Central, od którego dzieli go jedynie zarośnięte zieliskiem pole. Pomalowana na

niebiesko, by przypominała Ziemię widzianą z kosmosu, wyróżnia się nawet w tym pozostawionym na pastwę losu mieście. *Kochamy tę dzielnicę i chcieliśmy pokazać, że mieszkają tu ludzie obdarzeni inwencją* – wyjaśniał dziennikarzowi Leo, przypominający z postury Jacka. Ożeniony z artystką muzyk nie chciał, by ich dwoje dzieci wychowywało się w *pudełkach*. W swej wielkiej kopule urządził studio nagraniowe, z którego korzystał jego punkowy zespół Teenage Alcoholics oraz kapela Catalyst z baru należącego do rodziny Gillisów. Największe wrażenia na Jacku robił jednak Ray, najstarszy z braci (miał 18 lat, kiedy urodził się Jackie). *Przez jakiś czas był redemptorystą, zakonnikiem i księdzem, takim samym, jak prowadzący tutejszy kościół Najświętszego Zbawiciela* – powiedział White w wywiadzie dla „New York Timesa”. *Potem został prywatnym detektywem i otworzył w Detroit sklep z akcesoriami szpiegowskimi. Spędzałem z nim mnóstwo czasu. Zabierał mnie do kina – właściwie poza nim nikt inny tego robił.*

Najbliższy sąsiad Gillisów, tapicer o nazwisku Brian Muldoon, należał do nielicznych, którzy nie poddali się narastającej panice i nie uciekli z dzielnicy z innymi białymi mieszkańcami. Grupka tych upartych mieszkańców stanowi w Mexicantown zdecydowaną mniejszość. *Nie sądzę, by moją rodzinę cechował owczy pęd, próbował wytłumaczyć Barneyowi Hoskynsowi White. Taka mentalność jest nam obca. Choć z drugiej strony, być może nie było to dla nas najlepsze.* W filmie „Będzie głośno” nadaje tej decyzji walor donkiszotowskiej szlachetności, jak gdyby w określeniu „exodus białych” kryło się wyzwanie lub

obelga. *W mojej rodzinie panowało wyniosłe przekonanie, że „my nie wyjeżdżamy. Nie będziemy uciekać, jak wszyscy”.* Jako dziecko patrzył przez okno swego pokoju na płonący samochód sąsiada w głębi ulicy. W mieście, w którym przestały funkcjonować służby miejskie, regularnie podpalano opuszczone budynki; od 1967 roku przybywało opustoszałych, zarośniętych trawą kwartałów ulic, których granice wyznaczało pogorzelsko. Spalenie samochodu gwarantowało, że w końcu ktoś go odholuje.

Urodzony w 1966 roku brat Jacka, Eddie, znacznie lepiej wspomina dorastanie w tej okolicy. *Żyło tu wiele dużych rodzin, podobnych do naszej – wspomina w rozmowie z Richem Tupica dla „Turn It Down” – tworzących zżyłą ze sobą społeczność. Głównie katolicką, ale jak na dzisiejsze standardy, dość różnorodną, istny tygiel ras. Działo tu dużo fabryk, ciężki przemysł, mnóstwo kościołów, aż w końcu wszystko podupało.* Nawet pełen optymizmu Eddie wiedział jednak, że nie było to miejsce dla mięczaków. *Panowała tu atmosfera zabawy, ale trzeba było umieć walczyć o swoje, a kiedy wychodziłeś na ulicę, musiałeś pokazywać, że jesteś twardzielem.*

Ich ojciec miał szkockie korzenie; jego przodkowie od pokoleń osiedlali się w kanadyjskiej Nowej Szkocji przed przyjazdem do USA i podjęciem pracy w fabrykach samochodów w Detroit. Teresa, również najmłodsza z dziesięciorga rodzeństwa, wychowała się w polskiej rodzinie katolickiej; jej matka przyjechała do Ameryki w 1905 roku. Małemu Jackowi na urodziny śpiewano więc w domu polskie „Sto lat”. Oboje rodzice pracowali na rzecz kościoła pod

wezwaniem Najświętszego Zbawiciela przy Junction Street 1721, oddalonego zaledwie o dwie przecznice na zachód od ich domu rodzinnego. Była to w swoim czasie największa katolicka parafia w Ameryce Północnej. Gorman pełnił funkcję głównego administratora archidiecezji, Teresa była sekretarką kardynała Edmunda Szoki (syna polskich emigrantów), kościelnego dostojnika o bardzo silnej pozycji w Watykanie, gdzie w końcu został prezydentem Papieskiej Komisji Państwa Watykańskiego. Postać ważnego pracodawcy rodziców zapadła dzieciństwie pamięć Jackowi. *Trzeba było całować go w pierścionek* – wspomina ze śmiechem swoje spotkania z kardynałem w rozmowie z Barneyem Hoskynsem.

Życie religijne Gillisów było dość skomplikowane. Gorman był nawróconym chrześcijaninem, Teresę natomiast White przedstawia w rozmowie z Pamelą Des Barres jako *trzeźwą i rzeczową katoliczkę*. Różnice poglądów zamieniały dom rodziców w zagadkowe *miejsce gwałtownej chrześcijańskiej dysputy*. Jack sądzi, że odpowiada za to konserwatywne środowisko, w którym wychowywali się rodzice w epoce Wielkiego Kryzysu, *odchodzące w przeszłość okruchy życia: złoty wiek Eisenhowera, prawicowość, ultrakonserwatywne Towarzystwo Johna Bircha, chrześcijaństwo, takie rzeczy – ale w roku 1990, kiedy nie miało to już racji bytu*.

Niektóre formalne zwroty i sformułowania, jakimi posługiwali się rodzice, przyłgnęły do niego na stałe. *Kiedy byłem małym chłopcem i zrobiłem coś dobrego* – powiedział kiedyś fanowi – *ojciec komentował to słowami: „Jackie,*

zachowałeś się jak dżentelmenem i uczoney”. Jako dorosły rozwinął wyniesione z domu dobre maniery w wystudiowaną grzeczność i archaiczny kodeks szarmanckiego postępowania. Mimo iż odczuwał dystans do różnic religijnych dzielących rodziców, zachował ich wiarę w chrześcijańskiego Boga.

Rozmawiając z równie uduchowioną Pamelą Des Barres, chętnie dzieli się z nią poglądami na podstawowe wartości, zazdrośnie strzeżonymi przed cynicznymi, ateistycznymi dziennikarzami rockowymi. *Bardzo się cieszę, że wyniosłem z tego wszystkiego wiarę w Boga* – skomentował swoje wychowanie. Zastrzegając otwartość i szacunek dla wszystkich wyznań, traktuje Jezusa z czasów swego dzieciństwa jako domyślny wzorzec. Bóg, przed którym bił pokłony i do którego wznosił modły, był stwórcą i kreatorem – najlepszym rzemieślnikiem i największym artystą. *Możemy jedynie posłużyć się drewnem, które od niego mamy, i coś z niego zrobić* – wyjaśnia Jack. *Nie da się stworzyć czegoś z niczego*. Nawet budowa piramid jest czymś żałośnie nieznaczącym w porównaniu ze stworzeniem planet. *I to mnie właśnie do niego cały czas przyciąga. Moja codzienna myśl o Bogu*. Kiedy był już starszy, sięgał po apokryficzne ewangelie, przypisywane Marii Magdalenie, Jakuba i wątpliwego Tomasza. Podziwiał męczenników i świętych za, jak wyjaśnił dziennikarzowi „New York Timesa”, oddanie sprawie i czyste poświęcenie. Jego ulubionymi świętymi byli św. Sebastian (patron wyobraźni) i św. Rita (patronka rzeczy niemożliwych). Chrześcijaństwo stanowi istotny, acz często niedostrzegany element jego późniejszej twórczości.

W wywiadzie dla „Rolling Stone” wyznał Davidowi Fricke: *Mam trzech ojców: biologicznego, Boga i Boba Dylana....*